

Magia
świątecznych
emocji

Życz mi szczęścia

Nie przepadają za sobą,
ale ona bardzo potrzebuje
jego pomocy



editored

Ludka Skrzydlewska

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra
Projekt okładki: Justyna Sieprawska
Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock

Wydawnictwo Helion S.A.
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel. 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres
<http://editio.pl/user/opinie/zyczmi>
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-8449-1

Copyright © Helion SA 2024

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Rozdział 1

Kiedy pod drzwiami mojego mieszkania staje Monika, nie mam jeszcze pojęcia, że to spotkanie w znacznym stopniu zaważy na moim dalszym życiu.

Nie potrzebuję jej wpuszczać do środka, bo Monika wpuszcza się sama, maszerując naprzód, aż muszę się cofnąć, choćbym bardzo nie chciała. A nie chcę. Nie znam tej kobiety, ostatni raz widziałam ją jakieś osiemnaście lat temu, i nie bardzo mnie obchodzi, czego ode mnie chce. Jestem totalnie zaskoczona, kiedy widzę ją za drzwiami, i chyba tylko dlatego nie reaguję na czas — pozwalam jej wparować do przedpokoju.

A może dzieje się tak, ponieważ zazwyczaj tak robię. Nie jestem dobra w stawianiu się ludziom, zwłaszcza gdy mi na tym aż tak bardzo nie zależy.

— No cześć, Nadia, kopę lat — mówi Monika z roztargnieniem, rozglądając się dookoła.

Marszczy nos, jakby zobaczyła coś, co nie przypadło jej do gustu. Biorę się pod boki, gotowa bronić mojego gniazdka do ostatniej kropli krwi. Może nie jest największe, za to przyjemnie urządzone i bardzo przytulne. Jeśli Monice się nie podoba, nikt na siłę jej tu nie trzyma.

Mam wrażenie, jakby oceniała moje mieszkanie. I wcale mi się to nie podoba.

— Kopę lat? — powtarzam, nie dowierzając. — Jestem zaskoczona, że pamiętasz, jak mam na imię.

Dla Moniki zawsze byłam uciążliwą młodszą siostrą chłopaka, z którym chodziła. Kobieta jest w wieku mojego brata, czyli ma obecnie trzydzieści pięć lat, ale gdybym tego nie wiedziała, mogłabym uznać, że jest moją równolatką. Ma pięknie wypielęgnowane, długie blond włosy i jest ubrana w szykowną bordową sukienkę do kolan, chyba z jedwabiu.

Narzuciła na nią rozpięty wełniany płaszcz. Ma idealną sylwetkę i wygląda na pewną siebie kobietę sukcesu.

Odruchowo zaczynam skubać rękaw mojego powyciąganego swetra i odrzucam do tyłu poplątane rude włosy. Jestem od niej o kilkanaście centymetrów niższa i ładnych parę kilo grubsza i mimo woli czuję się z tym odrobinę niezręcznie, chociaż wiem, że nie wygląd świadczy o wartości człowieka. Kiedy jednak Monika taksuje mnie takim uważnym, oceniającym spojrzeniem, jestem świadoma każdej mojej niedoskonałości. Nerwowym ruchem poprawiam okulary.

— No wiesz, Wojtek mi ciągle o tobie mówi — odpowiada Monika, czym jeszcze bardziej mnie zaskakuje.

— Wojtek? — dziwię się. — To wy utrzymujecie kontakt?

Dopiero po tym pytaniu kobieta zdaje się odrobinę mniej pewna siebie. Zaraz jednak wraca do swojej śmiałości, odpowiadając:

— Mamy jedną... sprawę, przez którą od lat pozostajemy w kontakcie.

Nie wiem, czy mnie to interesuje. Mam wątpliwości, czy w ogóle powinienam brnąć w tę rozmowę. Nie wiem nawet, czy pytać ją, po co przyszła, czy od razu wyrzucić za drzwi. Kobieta, której nie widziałam prawie osiemnaście lat i która podczas naszego ostatniego spotkania traktowała mnie jak dzieciaka (zresztą nim wtedy byłam), jak gdyby nigdy nic przychodzi do mojego mieszkania — skąd znała adres?! — i rozmawia ze mną, jakbyśmy poprzedni raz widziały się wczoraj.

Czy może zrobić się jeszcze dziwniej?

Oczywiście, że tak.

— Monika, wybacz, ale naprawdę nie mam na to czasu. — Krzyżuję ramiona na piersi i wpatruję się w nią w sposób, który chciałabym określić jako nieustępliwy. — Powiesz mi, o co chodzi i po co tu przyszłaś, czy mam cię już odprowadzić do drzwi?

— Wow. — Monika parska śmiechem. — A takie było z ciebie nieśmiałe dziecko. Ale cóż, zmieniłaś się przez te lata. Trochę. Całkiem... eee... wyładniałaś.

To kłamstwo i obie doskonale o tym wiemy. Nie jestem brzydka, ale z pewnością nie mam urody tego typu, który doceniłby ktoś taki jak Monika. Jestem miłą dziewczyną z sąsiedztwa o słodkim uśmiechu, nie seksbombą. Niestety.

— Taaa — zbywam ją. — Mów, dlaczego właściwie tu jesteś. Chyba nie po to, żeby prawić mi komplementy.

Monika wzdycha i podnosi oczy do sufitu, jakby szukała tam czyjejś pomocy. Niczego nie znajdzie. Nawet pajaków tam nie ma, bo panicznie się ich boję i bardzo dbam o czystość.

— Mam pewien problem — wyznaje w końcu. — I nadzieję, że mogłabyś mi pomóc.

Unoszę brew.

— A dlaczego miałabym to robić?

— Bo to także problem twojego brata — wyjaśnia.

Ciekawe, co Wojtek znowu zmalował, myślę z irytacją. Mój brat to prawdziwy niebieski ptak, na którym rodzice już dawno położyli krzyżyk. Odkąd dziesięć lat temu wyjechał z Polski, w ogóle go tu nie widzieliśmy. Nie wiem, co dokładnie robi, ale czasami przysyła pocztówkę z Nikaragui albo innych Filipin. To wieczne duże dziecko, ale nie mam mu tego za złe, bo po prostu taki sposób na życie sobie wybrał. Jedni są szarymi zjadaczami chleba, mają stałą pracę i biorą kredyt na mieszkanie — jak ja — a inni wyruszają autostopem w jednych gaciach na drugi koniec świata i żywią się przydrożnymi roślinkami i ludzką dobrocią, jak Wojtek. Nie mnie oceniać, kto lepiej spożytkuje swoje życie.

Nasi rodzice już dawno wydali werdykt niekorzystny dla mojego brata. Według nich unika on odpowiedzialności, dorosłego życia i obowiązków. Bo dla nich „dorosłe życie” koniecznie musi się wiązać z pracą na etacie, ze ślubem i z dziećmi.

Czekam, aż zaczną swatać i mnie. W końcu mam już prawie trzydziestkę na karku i byli bardzo rozczarowani, kiedy pół roku temu rozstałam się z moim najbardziej obiecującym partnerem.

A raczej: kiedy to on mnie rzucił.

— Nie wyobrażam sobie, żeby Wojtek mógł tu narobić jakichś problemów, skoro od dziesięciu lat nie ma go w Polsce — dziwię się.

Monika gorzko się uśmiecha.

— To problem, którego narobił prawie siedemnaście lat temu — oświadcza spokojnie. — I ten problem ma na imię Wiktoria.

Przez chwilę wpatruję się w nią bez słowa, próbując zrozumieć, o czym ona właściwie mówi. Wydaje mi się, że oszalała.

Mój brat nie może mieć kilkunastoletniej córki, prawda? Raczej nie o to chodzi Monice. Na pewno miała na myśli coś innego...

Sądząc jednak po jej spojrzeniu, nie miała. Miała na myśli dokładnie to, co powiedziała. Sugeruje, że mój brat ma z nią dziecko i że to się stało, kiedy oboje byli jeszcze w liceum!

Nie mieści mi się to w głowie. To chyba niemożliwe! Przecież ktoś by o tym wiedział. Ktoś by się zorientował. Nasi rodzice albo...

Ktokolwiek.

Nic z tego nie rozumiem, ale dochodzę do wniosku, że ona mnie chyba nabiera.

— To jakiś żart, tak? — prychnam. — Chcesz mnie wkręcić? Wojtek cię nasłał, żeby mi zrobić głupi kawał?

— Nie rozmawiałam z nim od dość dawna. — Monika ponownie unosi wzrok do sufitu. — I mówię całkiem poważnie. Kiedy mieliśmy po osiemnaście lat, Wojtek zrobił mi dziecko.

Zszokowana kręcę głową.

— Ktoś by o tym wiedział — protestuję. — Krążyłyby jakieś plotki. Przecież mieszkamy w jednym mieście. Chodziliśmy do jednego liceum. Nikt nie wspominał, że jesteś w ciąży. Ani tym bardziej, że to dziecko Wojtka...

— Moi rodzice szybko się zorientowali, ale nie powiedziałam im, kto jest ojcem — przerywa mi. — Jakiś czas wcześniej rozstałam się z twoim bratem, a przynajmniej oni tak sądzili, i kategorycznie zaprzeczyłam, że to mogłoby być jego dziecko. Wywieźli mnie z miasta i umieścili u ciotki na wsi. Urodziłam, skończyłam szkołę, a dopiero po pewnym czasie powiedziałam o wszystkim Wojtkowi. Uznał dziecko i do tej pory płaci alimenty, ale nie chciał nikomu o tym mówić, a ja w sumie miałam to gdzieś.

— I nigdy nie chciałaś, żeby wasza córka poznała rodzinę od strony ojca? — dziwię się. To nieprawdopodobne. Przecież nasi rodzice powinni wiedzieć, że mają wnuczkę! A ja powinnam wiedzieć, że mam bratanicę! To nie była tylko decyzja mojego brata! — Ale to...

— Szczerze, Nadia, mam to gdzieś — wchodzi mi znowu w słowo i rzeczywiście brzmi dość obojętnie. — Wojtek tego nie chciał, a mnie nie zależało na tyle, żeby się kłócić. Dawał pieniądze i to mi wystarczyło.

Próbuję wziąć się w garść, ale jakoś mi nie idzie. Mam mętlik w głowie i zero pojęcia, co o tym myśleć. Pochlebiam sobie, że potrafię rozpoznać, kiedy ktoś wciska mi kit, w końcu mam z tym do czynienia na co dzień. Dzieciaki w kółko karmią mnie kłamstwami w rodzaju: „Proszę

pani, pies zjadł mi wypracowanie”, a ja muszę sobie z tym radzić. Jednak u Moniki nie wyczuwam fałszu. Wydaje mi się, że jest tylko nieco zniecierpliwiona, jakby irytowało ją, że musi mi to wszystko tłumaczyć.

No jasne, może myślała, że przyjdzie, powie mi, że mam szesnastoletnią bratanicę, a ja odpowiem „okej” i się ucieszę?

— Więc co tu teraz robisz, skoro tak bardzo masz nas gdzieś? — pytam, zanim zdążę ugryźć się w język.

Monika krzywi się, jakby moje słowa jej się nie podobały. Cóż, mnie nie podoba się nic, co powiedziała, odkąd bez zaproszenia wparowała do mojego mieszkania.

— Bo tak jakby potrzebuję pomocy — bąka w końcu i mam wrażenie, że wreszcie straciła odrobinę rezonu.

Robię się jeszcze czujniejsza.

— Jakiej konkretnie pomocy?

— Muszę wyjechać służbowo na parę tygodni — wyjaśnia. — Będę robić zdjęcia w amazońskiej dżungli, a to nie jest miejsce dla szesnastolatki. Najczęściej w takich sytuacjach zostawiam ją u przyjaciółki, tylko że akurat teraz też jej nie ma w mieście i nie bardzo mam się do kogo zwrócić, więc pomyślałam...

Urywa w pół zdania, ale nie musi kończyć, żebym zrozumiała, o co jej chodzi. Rozumiem aż za dobrze. I jestem tym faktem oburzona.

— Zaraz, moment — mówię, cofając się o krok. — Chcesz, żebym ja się nią zaopiekowała?!

— Wiedziałam, że się zgodzisz. — Monika uśmiecha się promiennie, a ja czuję panikę na myśl, że tak odebrała moje słowa. — To tylko kilka tygodni...

— Nie ma mowy — przerywam jej stanowczo. — Chyba oszalałaś!

— Dlaczego? — dziwi się i mam wrażenie, że szczerze. — To twoja bratanica. Nie chcesz jej poznać? Nie chcesz mi pomóc, jeśli masz taką możliwość? Przecież to nic wielkiego. Wróć, zanim się obejrzyysz. Wiki jest grzeczną dziewczyną, a większość czasu będzie spędzała w szkole i na zajęciach pozalekcyjnych. Nie ma z nią żadnych kłopotów. Nawet nie zauważyysz, że tu jest.

Ta kobieta naprawdę zwariowała.

— Jest prawie połowa grudnia — przypominam jej niepotrzebnie. Zapewne sama doskonale o tym wie. — Chcesz ją zostawić u mnie na święta?!

— A co, wolałabyś, żeby spędziła je sama? — pyta Monika ze zgorzaniem.

Chryste. Jeszcze chwila, a wywoła we mnie wyrzuty sumienia.

Nerwowym gestem poprawiam okulary na nosie i cofam się o krok, żeby zyskać nieco więcej przestrzeni. To nie moja wina. Nie powinnam czuć się odpowiedzialna za osobę, o której istnieniu dziesięć minut temu nawet nie wiedziałam. Mam zobowiązania na święta i nie mogę ich tak po prostu porzucić, żeby się zająć szesnastolatką! Co powiem rodzicom? Że Wojtek ma prawie dorosłą córkę, o której zapomniał nam wspomnieć?! A może mam ją przyprowadzić na rodzinną kolację wigilijną?!

Panikuję nieco, gdy wyobrażam sobie reakcję moich rodziców. To dobrzy ludzie, ale trochę konserwatywni. I pewnie oberwałoby mi się jako posłańcowi.

Po prostu świetnie. Nie ma mowy, żebym się na to zdecydowała. Będę unikać konfrontacji, jak długo się da.

— Wolałabym, żeby spędziła je ze swoją matką — odpowiadam w końcu w miarę spokojnie, choć bałam się, że będę brzmiała na bardziej rozhisteryzowaną. — I na pewno dziewczyna się nie ucieszy, że zostawiasz ją samą właśnie teraz. Daj spokój, Monika, to twoja córka. Naprawdę chcesz spędzić święta bez niej?

Monika wzrusza ramionami. Najwyraźniej się tym nie przejmuje.

— Nigdy nie obchodziłyśmy ich zbyt hucznie — mówi, a ja jakimś cudem wiem, że to znaczy „w ogóle”. W ogóle ich nie obchodziły. — Wiki nie będzie niczego od ciebie oczekiwała.

— Bo zaniżyłaś jej oczekiwania — uświadamiam jej z przekąsem.

Monika przewraca oczami, jakby rozmowa ze mną ją nużyła. Spogląda na zegarek, a ja mam ochotę zrobić to samo. To ona zajmuje mój czas. Nie powinna się zachowywać, jakby wyświadczała mi łaskę, że wciąż tu stoi.

Zazwyczaj jestem chętna do pomocy bliźnim. Naprawdę. Tym razem jednak widzę, jak bardzo to jest niedorzeczne. To nie może się udać — ja i szesnastolatka? W moim wynajętym mieszkaniu z jedną sypialnią, do którego nie bardzo mogę zapraszać gości? Przecież to jakiś absurd.

Tylko teoretycznie wiem, jak radzić sobie z dziećmi. Mam z nimi do czynienia w szkole, ale nie w domu. Nigdy przecież nie mieszkałam z kimś takim, w dodatku zupełnie obcym, pod jednym dachem. Po prostu wiem, że to się nie uda. Nie. Nie ma mowy.

— Pomożesz mi czy nie? — pyta Monika twardo.

Kręcę głową. Myślałam, że ją to rozczaruje, ale w jej jasnoszarych oczach widzę tylko zniecierpliwienie.

— Ja w ogóle nie znam twojej córki — tłumaczę nieco desperacko. Boję się, że jeszcze chwila, jeszcze trochę przekonywania mnie i się zgodzę. Nigdy nie byłam zbyt asertywna. — Ona mnie też i na pewno nie chce ze mną spędzać kolejnych tygodni. A jeśli coś jej się stanie? Nie umiem opiekować się nastolatką i nie mogę wziąć sobie tego na głowę...

— Ona jest bardzo samowystarczalna — przerywa mi Monika.

Nadal kręcę głową.

— Nie rozumiesz, jakie to jest dziwaczne? Nie widziałyśmy się prawie dwadzieścia lat i nagle przychodzisz do mnie, i...

— Dobra, przestań już. — Podnosi ręce i odwraca się, po czym tak po prostu zmierza ku drzwiom. Marszczę brwi i nieco zdezorientowana biegnę za nią. — Dobrze wiedzieć, że pewne rzeczy jednak się nie zmieniają. Miło było cię zobaczyć, cześć!

Wychodzi, zanim zdążę otworzyć jej drzwi. Wpatruję się przez moment w miejsce, które opuściła, zastanawiając się, o co w tym, do cholery, chodzi.

Równocześnie jest mi głupio, że nie zdecydowałam się jej pomóc, i czuję ulgę, że sobie poszła. Mam popołudnie tylko dla siebie i zamierzam poświęcić je na sprawdzanie jednej z ostatnich kartkówek przed przerwą świąteczną, a potem poczytać coś ciekawego. Nie mam czasu ani ochoty na zajmowanie się obcą nastolatką.

Przez jakiś czas myślę, że ten epizod, dziwny, choć tak krótki, udało mi się bezpowrotnie zamknąć.

Przestaję tak myśleć, gdy wieczorem ponownie słyszę dzwonek do drzwi.

Siedzę akurat pod kocem z kubkiem gorącej herbaty i czytam ostatni kryminał Becketta, gdy w mieszkaniu rozlega się ten dźwięk. Krzywię się i spoglądam na zegarek. Kto może czegoś ode mnie chcieć o ósmej wieczór? Zazwyczaj wtedy mam już spokój.

Chwilę mi to zajmuje, zanim wygramolę się spod koca i wstanę. Zaraz potem otwieram drzwi i na moment zatrzymuję się jak wryta.

Na progu mojego mieszkania stoi nastolatka. Od razu domyślam się, kim jest, chociaż nigdy wcześniej jej nie widziałam. Tylko że jej wygląd odrobinę kłóci mi się z tym, jak przedstawiła ją Monika.

Kiedy wspominała o grzecznej dziewczynie, która większość czasu spędza w szkole i na zajęciach pozalekcyjnych, wyobrażałam sobie kogoś podobnego do mnie — w szarym sweterku, w okularach i z włosami spiętymi w koczek. Jasne, zdaję sobie sprawę, że dałam się ponieść stereotypowemu myśleniu, ale nic nie poradzę na to, że kiedy widzę przed sobą dziewczynę z fioletowymi dreadami, w podartej koszuli w kratę i równie podartych czarnych dżinsach, ze znoszoną skórzaną kurtką w ręce i z twarzą, na której mocny makijaż przypomina barwy wojenne, nie wydaje mi się grzeczną dziewczyną.

Wydaje mi się nastolatką, która będzie sprawiać kłopoty.

Przestań, rugam samą siebie w myślach. Pozory mogą mylić! Ona na pewno jest bardzo sympatyczna...

— Nadia? — pyta dziewczyna, patrząc na mnie tak, jakby brakowało mi piątej klepki.

To pewnie dlatego, że gapię się na nią w milczeniu i lekkim szoku. To jedno słowo jednak mnie odblokowuje i sprawia, że opieram pięści o biodra. Może i jest między nami tylko trzynaście lat różnicy, ale powinienam od razu ustalić jakieś granice.

— Dla ciebie „ciocia” — odpowiadam więc. — Wiktoria? Co ty tu robisz?

— Dla ciebie „Wiki”. — Dziewczyna uśmiecha się krzywo. — Wpuścisz mnie czy nie, ciotka?

Ostatnie słowo wymawia wyraźnie drwiąco, aż zaczynam się zastanawiać, czy nie byłoby jednak lepiej, gdybym pozwoliła jej mówić sobie po imieniu. Ostatecznie jaka to różnica?

Dziewczyna jest ode mnie kilka centymetrów wyższa i dość szczupła; trudno mi powiedzieć coś o naturalnym kolorze jej włosów, ale ma trójkątną twarz, która nieco przypomina moją, i jasnoniebieskie oczy, niemalże takie same, jakie mamy mój brat i ja. Zwłaszcza te oczy przekonują mnie, że Wiki rzeczywiście jest córką Wojtka.

To naprawdę moja bratanica.

Odsuwam się automatycznie i wpuszczam ją do środka. Gdy zatrzymuje się w przedpokoju, rozglądając się ciekawie dookoła, zauważam, że oprócz przewieszzonego przez ramię wojskowego plecaka zwanego kostką w ręce trzyma podrózną torbę.

Och, po prostu świetnie. Chyba wiem, co tu się dzieje.

— Wiki, dlaczego właściwie tu przysłaś? — pytam niespokojnie.

Dziewczyna zwraca na mnie swoje jasne spojrzenie i wzrusza ramionami.

— Jak to? — dziwi się. — Przecież matka u ciebie była. Mówiła, że załatwione i że mam spędzić u ciebie najbliższe tygodnie.

Chryste.

Zabiję Monikę, kiedy już wróci z tej amazońskiej dżungli.

Rozdział 2

Przez chwilę wpatrujemy się w siebie z Wiki. Ona jest rozbawiona i nieco zdziwiona, a ja z pewnością prezentuję właśnie pierwsze symptomy ataku paniki, bo tak właśnie się czuję. Jezu. To nie może się dziać naprawdę. Sądziłam, że Monika zrozumiała. Że przyjęła do wiadomości moją odpowiedź i postanowiła znaleźć inne rozwiązanie. A nie że podrzuci mi swoją córkę jak niepotrzebny bagaż!

Wiki bardzo szybko się orientuje, co się dzieje. Drwiący uśmiech znika z jej twarzy i przez chwilę wydaje mi się, że jest rozczarowana. Ale ona chyba nie chciała spędzić najbliższych tygodni u kobiety, której w ogóle nie zna, prawda?

— Wcale się nie zgodziłaś, tak? — domyśla się. Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale nie mam pojęcia, co powiedzieć. Wiki tymczasem śmieje się zrezygnowana. — Wiedziałam. Moja matka zawsze odwała coś takiego.

Robi krok w stronę przedpokoju i próbuje mnie wyminąć, lecz staję jej na drodze. Marszczy brwi, spoglądając na mnie.

— Co robisz? — pytamy równocześnie.

Wyrzucam ręce w górę w geście poddania, po czym wskazuję jej salon. Wiki jednak kręci głową.

— Widzę, że mnie tu nie chcesz i prawdopodobnie nie zgodziłaś się na przechowanie mnie — mówi. — Matka znowu wymyśliła, że podrzuci mnie komuś, a ten ktoś nie zaprotestuje, bo nie będzie miał wyjścia. W takim razie wiesz co? Ja już sobie pójdę.

— Pójdiesz sobie? — powtarzam z niedowierzaniem. — Niby dokąd?! Dziewczyna wzrusza obojętnie ramionami.

— Tam, gdzie zwykle nocuję, kiedy matki nie ma w mieście.

— Monika powiedziała, że zazwyczaj oddawała cię pod opiekę przyjaciółce — przypominam jej. — I że teraz nie ma takiej możliwości...

Przerywa mi śmiech Wiki. Jestem zdezorientowana i wiem, że powinienam wziąć się w garść, ale sytuacja jest po prostu zbyt kuriozalna. Nie mam pojęcia, co zrobić z tą dziewczyną. Przecież nie mogę jej tak po prostu wypuścić...

— Nigdy nie nocowałam u jej przyjaciółki — prycha Wiki ku mojemu zaskoczeniu. — Ona tylko tak myślała. Znacząca moja matka, bo z jej przyjaciółką mam umowę, że wszystko jest w porządku. Z tobą też mogę mieć. Chociaż... ty w sumie nie wyglądasz na taką, która na coś podobnego pójdzie.

Próbuję zrozumieć, co ta dziewczyna do mnie mówi, ale idzie mi to wyjątkowo opornie. Zazwyczaj szybciej łączę fakty. To chyba kwestia zaskoczenia.

— Wejdz do salonu, dobrze? — proponuję, starając się mówić w sposób opanowany. Przypuszczam, że idzie mi średnio, bo Wiki tylko spogląda na mnie niepewnie i nie rusza się z miejsca. — I daj mi numer twojej matki. Muszę do niej zadzwonić.

Znowu przez chwilę mierzymy się spojrzeniami, aż w końcu, ku mojemu zdziwieniu, Wiki odpuszcza. Wzdycha, odwraca się i przechodzi do salonu; zostawia torbę podróżną i kostkę na podłodze, kładzie na nich kurtkę, po czym rzuca się na mój fotel. Robi to z takim impetem, że mebel tylko chyba cudem zostaje w jednym kawałku.

Siada w poprzek, a jej nogi w wysokich gładkach wystają poza boczne oparcie. Ponieważ na dworze jest plucha, buty ma brudne i zostawia ślady z błota od samego wejścia. Świetnie. Teraz będę musiała myć podłogę?

— Możesz spróbować, ale to nic nie da. — Wiki wyciąga z kieszeni dzinsów telefon i przez chwilę w nim grzebie, po czym mi go podaje. — Ona nie odbierze.

Przecież Monika nie ma mojego numeru, więc skąd miałaby wiedzieć, że ja dzwonię?

Sięgam po własną komórkę leżącą na stoliku przed kanapą i przepisuję numer do Moniki. Nawiązuję połączenie, ale sekundę później zostaje przekierowane na pocztę głosową.

Ta żółta wyłączyła telefon.

— Mówiłam — krzywi się Wiki, kiedy odsuwam komórkę od twarzy. — Matka już się nauczyła, jak to się robi.

— To znacząca?

— Kazała mi odprowadzić się na lotnisko — wyjaśnia Wiki ze znużeniem. — Powiedziała, że chce się ze mną pożegnać, ale wiem, o co jej chodziło. Zależało jej, żebym pojechała do ciebie dopiero wtedy, kiedy ona przejdzie już odprawę. Wzięłam taksówkę i przyjechałam tutaj, a to trochę potrwało.

— A ona już zdążyła wsiąść do samolotu? — dopowiadam ponuro. Wiki kiwa głową.

— Taaa... albo jeszcze czeka pod bramką, ale ma wyłączony telefon — zgaduje. — Bo wie, że spróbujesz do niej zadzwonić, kiedy mnie zobaczysz. Moja matka nie jest głupia, zaplanowała to. Wiedziała, że będziesz chciała interweniować i się mnie pozbyć, więc upewniła się, że nie będziesz miała na to czasu. Chciała cię postawić pod ścianą.

Nie mogę w to uwierzyć. Monika w ogóle mnie nie zna! Skąd może wiedzieć, czy zajmę się jej córką, czy też bez wyrzutów sumienia wywalę ją za drzwi? Nie wie, czy nie sprzedam jej złodziejom organów albo nie zrobię czegoś równie strasznego. Jak można być tak bezmyślnym i nieodpowiedzialnym?!

Z drugiej strony Wiki nie wygląda na dziewczynę, która dałaby się porwać handlarzom organów. Ale to może być tylko wrażenie, ona ma ledwie szesnaście lat! Coś może jej się stać, jeśli ją stąd wypuszczę!

Ale przecież nie może u mnie zostać...

— Czy twoja matka jest normalna? — wrywa mi się, gdy ciężko opadam na sofę.

Wiki się śmieje, odrzucając głowę do tyłu. Zabawne. Wojtek zawsze robił podobnie.

— Tak całkiem to chyba nie — przyznaje. — Ale spoko, ciotka. Wiem, że mnie tu nie chcesz, więc nie będę ci zawracała dupy. Pójdę tam, gdzie zawsze chodzę, gdy zostaję sama w mieście. Przyjaciółka matki udaje, że śpię u niej, matka udaje, że w to wierzy, i wszyscy są zadowoleni. Nie musisz się o mnie martwić.

Ostatnie zdanie dodaje takim tonem, jakby nie sądziła, że w ogóle mogłabym się martwić. Chyba powinno mnie to trochę obrazić, ale trudno. Dziewczyna nie ma podstaw, żeby myśleć inaczej.

— To znaczy gdzie? — pytam nieustępliwie.

Wiki przewraca oczami. Jest w tym geście coś, co kojarzy mi się z koleją z Moniką, ale na wszelki wypadek tego nie mówię na głos.

— Czy to ważne? — prycha. — Gdzieś, gdzie byłam już wiele razy i nigdy nic mi się nie stało.

To nie brzmi dobrze. Zupełnie, jakby próbowała mnie przekonać, że będzie bezpieczna. Na przykład ponieważ wie, że może nie być. Że to miejsce by mi się nie spodobało, gdybym się dowiedziała, o jakie dokładnie chodzi.

Więc oczywiście nie zamierzam odpuścić.

— To znaczy gdzie? — powtarzam uparcie. — Twoja matka zostawiła cię pod moją opieką, więc...

— O czym w ogóle nie wiedziałaś i na co się nie zgodziłaś. — Wiki wstaje z fotela i sięga po skózaną kurtkę. — Nie jestem twoim obowiązkiem i nie musisz się o mnie troszczyć, serio. Zawsze radzę sobie sama, tym razem nie musi być inaczej. Kumpel znajdzie mi miejsce w swojej dziupli.

Może i przestałam być nastolatką dekadę temu, może i jestem nudna i zbyt normalna jak dla tej dziewczyny, ale doskonale wiem, co ma na myśli. W końcu na co dzień uczę dzieciaki, na litość boską.

— Chcesz spać na squacie?! — pytam z niedowierzaniem. — Oszałałaś?!

Wiki spogląda na mnie zdziwiona i wzrusza ramionami.

— No i co w tym takiego straszego? O co ci chodzi, ciotka?

— Jest dziesięć stopni poniżej zera! — Już prawie na nią krzyczę, więc odczekuję dwie sekundy, próbując się uspokoić. — Nie pójdziesz gdzieś, gdzie przy pierwszej okazji zamarznie! Poza tym to nie jest miejsce dla ciebie.

Wiki krzyżuje ramiona na piersi i uśmiecha się drwiąco, od czego tracę tę odrobinę pewności siebie.

— Ach tak? — pyta z rozbawieniem. — A co ty wiesz o takich miejscach, ciotka?

Dobra, już zrozumiałam, że błędem było polecenie, by tak się do mnie zwracała. Ogromnym błędem. Może gdyby mówiła do mnie po imieniu, nie brzmiałoby to tak cholernie protekcyjnie.

Ta dziewczyna jest ode mnie trzynastcie lat młodsza. To ona powinna czuć wobec mnie respekt, nie ja wobec niej. Muszę wziąć się w garść i zrobić cokolwiek, żeby zobaczyła we mnie autorytet, którego należy słuchać! Czy jakoś tak.

W sumie nie mam pojęcia, co robić z nastolatką, żeby zaczęła mnie słuchać. To trochę inna sytuacja niż w szkole, jej nie zagrozę niezapowiedzianą kartkówką, jeśli nie przestanie zaczepiać koleżanki z ławki obok.

— Wiem dość, by wiedzieć, że to nie jest miejsce dla ciebie — odpowiadam stanowczo. — Zamarzniesz tam albo zarobisz kość pod żebra. Ktoś cię okradnie albo zgwałci. Albo da narkotyki!

— Nikt tam nie ma hajsu jak lodu, żeby rozdawać za darmo narkotyki — fuka w odpowiedzi, ale widzę, jak rzędnie jej mina. Może jednak coś z tego, co mówię, do niej dociera?

— Nic mnie to nie obchodzi. — To sprawia, że odzyskuję odrobinę pewności siebie. — Zostaniesz tutaj, dopóki nie znajdę jakiegoś innego rozwiązania.

I nie dodzwonię się do Moniki, żeby przez telefon skopać jej dupę. Jeszcze nie wiem, jak to zrobię, ale na pewno wymyślę jakiś sposób.

Wiki wzdycha i przysiadła na oparciu sofy. Widzę, że uchodzi z niej odrobina tej nonszalancji, którą prezentowała od wejścia; ciekawe, czy naprawdę taka jest, czy to tylko gra. Jej wygląd mówi mi, że dziewczyna szuka uwagi. Nic dziwnego — też bym szukała, gdyby matka tak mnie olewała i dawała byle komu pod opiekę. Nie wiem jednak, czy to najlepszy sposób.

— Słuchaj, żadna z nas nie chce, żebym tutaj była — mówi pojednawczym tonem. — Matka powiedziała mi tylko, że jesteś siostrą mojego ojca, ale jego nigdy nie widziałam na oczy, więc nie musiałam widzieć i ciebie. Nie masz obowiązku, żeby się o mnie troszczyć, a ja nie chcę być dla ciebie kłopotem. No to może udamy, że byłam tutaj przez cały ten czas, gdy moja matka odparza sobie tyłek w dżungli, a tak naprawdę każda pójdzie w swoją stronę, co? W ten sposób obie będziemy zadowolone. Jeśli ci to zrobi różnicę, możesz zapomnieć, że powiedziałam cokolwiek o squacie. Wyobraź sobie, że wcale nie jadę do Podgórza na Limanowskiego, tylko mam przyjaciółkę, która mieszka w zajebistym domu na Zwierzyńcu.

Ta dziewczyna jest dziwna.

Może dlatego, że matka najwyraźniej ma ją gdzieś i Wiki właściwie wychowuje się sama. Może dlatego, że ma połowę genów mojego brata, który nie należy do najbardziej poukładanych i odpowiedzialnych mężczyzn na świecie, a drugą połowę po Monice, która jest, jaka jest — w końcu to ona zostawiła córkę samą w Krakowie i poleciała na drugi koniec świata!

— Nie ma mowy — odpowiadam dzielnie, na co Wiki robi zdziwioną minę. Chyba szczerze. — Zostaniesz dzisiaj tutaj, Wiki.

— Ach, zostanę? — Unosi brew. — Zamierzasz mnie zmusić czy jak?

— Nie, zamierzam odwołać się do twojego zdrowego rozsądku — warczę. — Przecież ty tam zamarznieesz. Jeśli chcesz szukać sobie innego noclegu, spoko, ale jutro rano. I na pewno nie jakiejś opuszczonej rudery bez prądu i ogrzewania. Jak już bardzo masz takie ciągoty, to zostaw je sobie na lato, kiedy przynajmniej nie umrzeesz.

Wiki przez chwilę przygląda mi się z namysłem, a ja zastanawiam się, czy brzmię przekonująco. Nie zatrzymam jej siłą. Jeśli zdecyduje się wyjść, to wyjdzie, a ja do rana prawdopodobnie osiwieję z niepokoju. Wolałabym nie, mimo wszystko lubię swoje rude włosy. To najciekawszy element w całym moim wyglądzie.

W końcu jednak, ku mojemu zdziwieniu, dziewczyna kiwa głową.

— No dobra — decyduje. Oddycham z ulgą. — Zostanę dzisiaj na noc. Nie chce mi się o takiej godzinie szlajać po mieście. Jutro się zastanowimy, co dalej.

Ochoczo kiwam głową. Podoba mi się ta liczba mnoga.

Na szczęście jutro jest sobota i nie będę musiała rano zostawiać jej samej, żeby iść do pracy. To z pewnością wiele ułatwi.

Wiki tymczasem, nie czekając na moją odpowiedź, siada na sofie i przysuwa sobie moją zimną już herbatę. Upija łyk, po czym się krzywi.

— Fuj — komentuje. — Co to jest?!

Ona tak serio?

— Herbata z cytryną — wyjaśniam uprzejmie. — Nigdy takiej nie piłaś?

— Nie wiem, może i piłam — mamrocze, a ja absolutnie w to nie wierzę. Jesteśmy w Polsce, tutaj poza herbatą równie dużo pije się chyba tylko wódki. — Dobra, nieważne. Będę spała na kanapie. Dasz mi jakiś koc?

Wstaję z westchnieniem i idę do sypialni, żeby znaleźć dla niej rzeczy. Nie mam zapasowej kołdry, ale mogę jej zaoferować śpiwór i drugą poduszkę, znajduję też świeży ręcznik. Gdy wracam do salonu połączonego z kuchnią, widzę, że Wiki krząta się koło lodówki, szukając chyba czegoś na ząb. Myszkuje po szafkach, jakby była u siebie, ale nie mam jej tego za złe, bo sama nie zachowałam się najlepiej, nie proponując jej niczego do picia ani jedzenia.

— Jeśli jesteś głodna, bierz z lodówki, co chcesz — mówię, szykując jej miejsce do spania. — I do picia też. Może poza tą butelką wina.

Wiki posyła mi spojrzenie pełne politowania.

— Myślisz, że nigdy nie piłam wina, ciotka?

Prostuję się i spoglądam na nią surowo.

— Jeśli zostajesz tutaj, u mnie, to będziesz przestrzegąca kilku zasad — mówię, na co znowu przewraca oczami. To takie irytujące. — Po pierwsze, żadnego alkoholu. Masz szesnaście lat i nie obchodzi mnie, co robiłaś w innych miejscach, w których sypiałaś. Po drugie, po domu chodzimy bez butów. — Rzucam znaczące spojrzenie na jej zabłocone glany. — Po trzecie, nie wychodzisz bez informowania mnie, kiedy wrócisz. Po czwarte, dam ci klucze, ale nie zgub ich, bo nie mam ochoty być ofiarą włamania i kradzieży. A po piąte, daj mi swój numer telefonu i odbieraj, jeśli do ciebie zadzwonię.

Przez chwilę żadna z nas się nie odzywa. Zdaję sobie sprawę, że przeiginam pałę. Dla dziewczyny, która przez większość czasu, jak się domyślałam, była puszczana samopas i nikt się nią nie interesował, to może być pewien szok. Może się buntować, żeby mi pokazać, że nie będzie się podporządkowywać. Nie chcę jednak, żeby coś jej się stało, poza tym to mój dom i nie pozwolę sobie w nim wejść na głowę.

Wojtek taki był, uświadamiam sobie nagle. W domu rodzinnym zawsze robił, co chciał. Nie słuchał rodziców i olewał wszystkie zasady, a oni nie potrafili go kontrolować. Włos mi się jeży, gdy myślę, że jego córka może być taka sama.

Wiki jednak tylko kiwa głową.

— Jasne — odpowiada gładko. — Zluzuj poślady, ciotka. Wszystko będzie dobrze.

Nie wiem, skąd ona ma taką pewność, ale nieważne. Nie sprawia to wcale, że czuję się lepiej.

— Może lepiej nie mów do mnie „ciotka” — mamroczę, czując, że w tej kwestii poniosłam porażkę. — Po imieniu będzie nam obu wygodniej.

Uciekam z powrotem do sypialni, żeby znaleźć zapasowe klucze do drzwi, i udaję, że nie słyszę, jak Wiki się śmieje.

Chyba jednak nie zdobędę u niej ani odrobiny szacunku.

Właściwie nie wiem, co mnie budzi, ale kiedy otwieram oczy, na zewnątrz ciągle jest ciemno.

Gdy spoglądam przez okno, w świetle latarni widzę, jak przez czarne niebo przelatują płatki śniegu. Świetnie, a rano, kiedy temperatura trochę podskoczy, znowu będzie bura plucha. Jak ja nie znoszę początków zimy.

Wydaje mi się, że słyszę coś dziwnego, jakby szcęk drzwi. Od razu zaczynam mieć wizję, jak jacyś znajomi narkomani Wiki ze squatu włamują się tu i mordują nas we śnie, więc wiem, że nie zasnę ponownie, póki tego nie sprawdzę.

Szczekam zębami i trzęsę się trochę, gdy wstaję z łóżka. Kaloryfery chodzą z pełną mocą, a i tak jest mi chłodno, ale to bardziej ze zdenerwowania. Wychodzę po cichu do salonu; kątem oka w ciemnościach dostrzegam skotłowany na sofie śpiwór, zanim zerkam na drzwi.

Uff. Zamknięte, łańcuch też zdaje się być na swoim miejscu. Rozcieram ramiona, gdy czuję podmuch zimnego powietrza. Czyżby okno było otwarte?

Spoglądam w tamtą stronę i przekonuję się, że faktycznie, jest uchylone. Ruszam powoli, żeby je zamknąć — nie zamierzam grzać mieszkania po to, żeby ciepło uciekało na zewnątrz — gdy zauważam, że śpiwór na sofie jest dziwnie płaski. Zupełnie jakby... nikogo nie było w środku.

Sięgam ostrożnie i macam przykrycie, by stwierdzić, że Wiki tam nie ma.

Cholera. Poszła do łazienki?

Zza okna dobiega mnie trzask, jakby na ulicy ktoś zamykał drzwi w samochodzie. Mieszkam na pierwszym piętrze, więc bez problemu mogę wyjść na balkon i dostrzec, że Wiki, znowu w swoich podartych dżinsach i skórzanej kurtce, właśnie wsiada do taksówki i odjeżdża spod mojego mieszkania.

O matko i córko.

Zwiała mi już pierwszej nocy!

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 



Miała tylko zatroszczyć się o bratanicę. Teraz sama potrzebuje ochrony

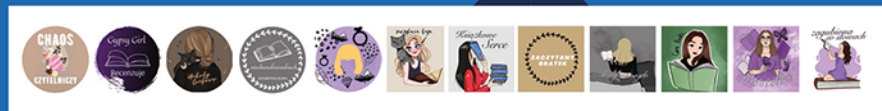
Opieka nad nastolatką to ogromne wyzwanie. Tym większe, jeśli obowiązek ten spada na osobę kompletnie do tego nieprzygotowaną. Nadia właśnie się dowiedziała, że ma prawie dorosłą bratanicę Wiki, którą musi się zająć tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Nic więc dziwnego, że młoda kobieta nie jest zachwycona. A to dopiero początek kłopotów.

Okazuje się, że dziewczyna ma poważne problemy, i to nie typowo nastoletnie: źli ludzie chcą zrobić jej krzywdę. Nadii nie pozostaje nic innego, tylko zwrócić się o pomoc do Igora — policjanta, dla którego walka z bandziorami to nie pierwszozna. Niestety, przez wspólną przeszłość Nadia ma wrażenie, że policjant jej nie cierpi. Czy mimo to stanie po jej stronie w rozgrywce z przestępcami?

**Czasami granica między nienawiścią a miłością jest bardzo cienka.
I być może Nadia i Igor wkrótce się o tym przekonają...**

*Dudka Skrzydłowska kolejny raz mistrzowsko łączy
wątki miłosne z trzymającą w napięciu intrygą kryminalną!*

Patroni medialni:



ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-283-8449-1



9 788328 384491